

się do niego zanadto poufale zblizali. Wogóle Mike był jakoby królem w tej bandzie. Wszyscy okazywali mu poddańcze uwielbienie i posłuszeństwo, z wyjątkiem młodej dziewczyny, siedzącej w wielkieszem towarzystwie, bardzo nawet przystojnej, ale na pierwszy rzut oka, jak widać, upadłej, która obserwowała go bardzo skrupulatnie, ale się nie odzywała ani słówkiem, chociaż Mike niejednokrotnie zwracał się do niej ze słowami pochlebstwa. Uderzało to nawet zwolenników Mikego, którzy poczęli mu coś przymawiać na temat tej dziewczyny. Ale Mike zamknął im gęby kilku groźnymi słowami i wyszedł. On nigdzie długo nie potrafił wysiedzieć. Zawsze go coś pędziło naprzód, jak owego wiecznego żyda, który od lat dwóch tysięcy tuła się po świecie. Na wychodnym skinął jeszcze głową owej dziewczynie i znalazł się znowu na ulicy.

Nie zauważył, że za nim posuwał się ciągle, jak cień nieodstępny, inspektor Byrnes. Szli dłuższy czas rozmaitymi zaułkami, aż Mike wstąpił wreszcie do drugiej nory, również ludźmi zapełnionej. Ale tu już było inne towarzystwo. Tutaj Mike musiał spokornieć, bo, o ile w gronie tamtych czuł się królem, o tyle tutaj widział, że wszyscy inni są w fachu złodziejskim bardziej od niego wyćwiczonym, że więc trzeba się stać pokorniejszym. Nie zabawił więc długo w tym szynku, wypił jeno trzy szklanki wódki i wyszedł. Widocznie rola poddańczego nie przypadła mu do smaku.

Na rogu ulicy Krótkiej spotkał kilkunastu ludzi w jego wieku i przyłączył się do nich. Tutaj uczuł się znowu swobodnym, tu, między tymi rzezimieszkami, mógł wodzić rej. Zaczął więc chwalić się na nowo, łąć, wymyślać i kłąć.

Naraz odłączył się od nich i zaczął dawać nadchodzącemu z bocznej ulicy rzezimieszkowi jakieś znaki i hasła.

— Hola, Banfield!

— Hola, Mike! — rozległ się przytłumiony głos.

Obydwaj odeszli na środek ulicy, głośno rozmawiając. — Inspektor stał w pewnym od nich oddaleniu. — Wiedział on, że przedmiotem ich rozmowy było nie co innego, jeno jakiś plan nowej zbrodni, ale nie chciał im przerywać, bo nie leżało w jego planie dzisiaj Mikego dostać w swoje ręce. Zresztą konferencja tych rzezimieszków nie trwała długo, bo po chwili obydwaj rozeszli się ze słowami: „Szczęść Boże!“ Banfield udał się w kierunku południowym, Mike zaś w kierunku wschodnim. Za nim, jak cień, poszedł inspektor.

Ale wędrowka Mikego miała się już ku końcowi, bo po kilku minutach zapukał do opuszczonej jakiejś gospody w zaułku, gdzie widocznie mieszkał. Inspektor zanotował sobie numer domu i poszedł dalej, zadowolony, bo dowiedział się tego, czego chciał.

Na rogu najbliższej ulicy powiedział Mugginsowi, który szedł stale za nim, że jego rola już się skończyła, poczem ruszył dalej i zdziwił się niemało, że był właśnie na ulicy Wolności, a więc niedaleko domu Haniera.

Mike Gloin przedstawiał się pod każdym względem jak najgorzej. Mimo młodego wieku miał on na sumieniu niejedną już sprawkę. Jego towarzysze należeli do najgorszych mętów nowojorskich, a śledztwo, podjęte tej nocy przez inspektora, okazało, w jakich knajpach Mike się zazwyczaj obracał. Co jednak było szczególnie uwagi godne, to fakt, że nie było ani jednego pewnego dowodu, któryby przemawiał za winą Mikego. Mieszkał on wprawdzie niedaleko od domu Haniera i bardzo często obijał się po restauracjach, jakie się naokoło znajdowały; on miał pistolet, którym mógł być zastrzelić Haniera, a w dniu mordu pistolet był w jego rękach. Na drugi dzień po morderstwie zastawiony został w jednym z pobliskich lombardów jakiś pistolet, który mógł do niego należeć. Czy to były pewne dowody, że mordercą Haniera był Mike, czy też był to prosty przypadek?

— Trzeba będzie — myślał inspektor — do stać w swoje ręce kompanionów Mikego. A może by się przecie udało tak zręcznego i przebiegłego zbrodniarza, jakim był Mike, zmusić w krzyżowym ogniu pytań do przyznania się?

Zatopiony w myślach wyszedł znowu na jedną z odleglejszych ulic Nowego Jorku. Wszędzie było pusto. Kto wogóle miał jaki dach nad głową, tego mroź z pewnością zapędził do domu. Tylko przed jednym z szynków zobaczył inspektor bandę włóczęgów, głośno rozprawiającą. Właśnie przed chwilą wyrzucił wszystkich właściciel szynkowni i całą gromadą, mężczyźni i kobiety, wrzeszczała, krzyczała i dopiero za ukazaniem się policyjanta, uspo-

koila się i rozbiegła na wszystkie strony. Inspektor szedł dalej.

Naraz przy świetle latarni zobaczył dziewczynę, młodą, ładną dziewczynę, która schyliła się, szukając czegoś na trotuarze. Widocznie zgubiła jakiś kolczyk, lub szpilkę. Szef policyi poznał ją. Wiedział on ją tego samego wieczora w jednym z szynków, jak się do niej umizgał Mike. Zresztą znał ją jeszcze dawniej. Dziewczyna po chwili wyprostowała się i ujrzała przed sobą inspektora. Poznali się oboje.

— Karolino — rzekł inspektor — co to za kobiety, które tu przed chwilą widziałem?

Dziewczkę zapłoniło się i spuściło oczy ku ziemi.

— Wiesz pan o tem tak dobrze, jak ja, panie inspektorze.

— A ty?

— Ja należę do nich.

— Przykro mi, że cię słyszę w ten sposób mówiącą. Kiedy przed rokiem odsyłałem cię do twojej matki do Elmiry, przyrzekałaś mi, że się poprawisz i że do tego życia już nie powrócisz.



...Póki jesteś młoda i ładna — ciągnął dalej inspektor — takie życie wydaje ci się przyjemnością i zabawą. Ale to nie trwa długo.

— Wiem, wiem — szeptała dziewczę stłumionym głosem i zaczęło płakać.

— Póki jesteś młoda i ładna — ciągnął dalej inspektor — takie życie wydaje ci się przyjemnością i zabawą. Ale to nie trwa długo, potem poznasz ciemniejsze strony! Kiedy jeszcze przed rokiem przyszła do mnie twoja matka i prosiła mnie, abym cię odszukał, nie narzekała na ciebie, ale z góry cię wszystko przebaczyła. Oddałem cię jej; zdawało ci się, że żałujesz swego postępu; a ona całowała cię, nazywała cię najdroższą córką i wtedy poznałaś, co ty zrobiła, poznałaś, że wszystkie bogactwa i rozkosze tego świata są niczem wobec matczynej miłości. Przy mnie przyrzekałaś jej, że jej nigdy nie opuścisz, dopóki żyć będzie. Dlatego dziś mnie to smuci, że teraz znowu tu cię odnajduje.

Dziewczyna łkała tak, że słowa wymówić nie mogła. Inspektor słyszał tylko słowa, jakie szepcem wyrwały się z jej ust:

— To właśnie, to właśnie!

— Co to ma znaczyć? — zapytał.

— Matka umarła! — odparła dziewczę przez łzy.

— To przykre, bo to była dobra matka!

— Dobra była — zawołała dziewczę, opanowując się. — Tak dobrym jak ona nie był nikt,

ja się o tem przekonałam. Bóg świadkiem, chciałam się poprawić, ale mi nikt nie chciał pomóc. Prześladowali mnie jak zaraza — ludzie z lepszych sfer; inni tembardziej dobijali się do mnie. Nienawidzę ich wszystkich, i siebie samej. Wstrętny mi jest cały świat! Moje miejsce rodzinne stało się dla mnie piekłem. Wszędzie mnie prześladowano i lżono na każdym kroku. Pieniądzy także nie miałam, więc sprzedałam domek, jaki odziedziczyłam po matce i przybyłam tutaj. W jaki sposób miałam sobie zarobić na jakieś takie utrzymanie? To, czegom się w szkole nauczyłam, nie wystarczyło, aby wyżyć z tego, zresztą nie przywiązywałam do tego wagi, bo i czemużby? Ot — i znalazłam się tutaj — i jestem — pan wiesz — czem.

— Jesteś jeszcze młoda — rzekł inspektor poważnie — i mogłabyś żyć uczciwie, gdybyś tylko chciała.

— Nie mogę — zawołała — pan wiesz dobrze o tem! Gdybym poszła do zakładu poprawczego, zetknęłabym się tam z kobietami, o wiele gorszymi odemnie, więc gdybym stamtąd wychodziła, nie pozostało by mi nic innego, jak na nowo rozpocząć takie samo życie, jakie prowadzę dzisiaj, jeno jeszcze gorsze. A o to mi nie chodzi — i za to ślicznie dziękuję!

Z oblicza jej znikł wszelki ślad jakiegoś smutku i żalu. Lekkomysłna, zwykła ulicznica stanęła obok inspektora, śmiejąc się i przyimi-lając.

— Przykro mi to, Karolino — rzekł Byrnes i odwrócił się, chcąc odejść.

— Niechże mi pan poda inny sposób do życia — zawołała. — Cóż ja mam robić? Może pan ma wśród tajnej policyi jakie miejsce dla mnie? Byłabym detektywem pierwszej klasy — niech pan spróbuje! — i roześmiała się znowu.

Inspektor obrócił się ku niej. Przyszła mu szczęśliwa myśl. Dziewczyna ta była młoda, ładna, wykształcona i jeszcze nie całkiem upadła. Mogłaby stać się jeszcze użyteczną, podnieść się do pewnego stopnia z błota, w jakim ugrzęzła, a równocześnie oddać sprawiedliwości niemałą przysługę. Zdawało mu się, że jej może zaufa; bo przecież ona mu była wdzięczną za to, że ją oddał jej matce i z pewnością nie zechce go oszukać. A chodziło mu głównie o to, czyby za jej pomocą nie udało się wy-dostać od Mikego jego tajemnicy.

— Pójdź ze mną, Karolino — rzekł. — Chciałem ci podać jeden projekt. Jeżeli masz odwagę i rozum, możesz mieć jeszcze świetniejszą przyszłość, aniżeli myślisz.

Ostrożnie i powoli zaznajamiał ją ze swoim planem. Nie ukrywał trudności, jakie będzie musiała przezwyciężyć, ale owszem, wysunął je na pierwszy plan, aby tem podbić jej ambicję.

Dziewczyna chwyciła się sposobności, nadarżającej się jej teraz, jak tonący brzytwy. Nie można przeczyć, jakoby nie miała jak najlepszych zdolności na agentkę. Przed rozstaniem się, powiedział jej inspektor, aby na drugi dzień przyszła do jego biura, gdzie ją dokładnie miał pouczyć o czekających ją obowiązkach.

Zjawiła się o oznaczonej godzinie i otrzymała potrzebne wskazówki. O co inspektorowi chodziło, tego nie wiedziała. Nie dowiedziała się nawet, o jaką zbrodnię chodzi. Jej zadanie polegało na tem, aby mogła pozyskać zaufanie Mikego i dowiedzieć się od niego wszystkiego, co będzie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).